

Kronika tygodniowa.

Spełniło się nareszcie to, na co czekaliśmy od początku wojny. Mocarstwa centralne uznały konieczność odbudowania niezależnej Polski, która ma i nadal pełnić rolę przedmurza, chroniącego Europę od naporu Wschodu i wydały w tym celu proklamację, w niedzielę ogłoszono ją urzędowo, a naród polski przyjął ją z żywą radością, że przecież spełnia się jego marzenia, które zdawały się być już pogrzebane na wieki. Za nasze wysiłki i nasze cierpienia, za ofiary z krwi i mienia, jakie złożyliśmy, zwłaszcza w ostatniej dobie, na ołtarzu ogólnego dobra, nagroda to zasłużona, w każdym zaś razie nie *gratia gratis data*.

Z obowiązku kronikarskiego wspominam o tem, choć sprawą tą na innym miejscu zajmuje się wymowniejsze pióro, chcę przecież zaznaczyć swą radość, że w końcu doczekała się świeczka odpustu i że nasze wysiłki nie poszły na marne. Pragnęlibyśmy może więcej, i słusznie powinniśmy nam się to należeć, miejmy jednak cierpliwość i bądźmy zadowoleni, że bodaj tyle mamy na początek, bo, sądząc, dalszy ciąg prędzej czy później musi nastąpić.

Niema więc złego, aby na dobre nie wyszło. Jeśli będziemy mieć Ojczyznę wolną, zawdzięczyć to musimy tylko toczącej się obecnie wojnie, na którą słusznie narzekaliśmy, że nam się tak dała we znaki. Ale zapomnimy jej to, niech tylko spełnią się nasze nadzieje i pragnienia!

A teraz do właściwego materiału kronikarskiego. Zaczę, rzecz prosta od futer damskich, którym już w poprzedniej kronice poświęciłem wiele miejsca i tem ściągnąłem na swą głowę tyle gromów, że odtąd będę musiał nosić na kapeluszu chyba konduktora (ale nie żywego!), by się uchronić od nie-szczęścia. Każda z dam, która labędzią swą szyję okreca „dusicielką”, patrzy na mnie, niczem piorun na biedną żabę, wygrzewającą się na liściu łopuchowym nad brzegiem wonnej Rudawy. Jedna z nich (naturalnie z pań, nie z żab!...) zrobiła mi nawet małą awanturkę, jak śmiałem poruszać tak niewdzięczny temat, odpowiedziałam jej, że z obowiązku kronikarskiego. To jej przecież nie wzruszyło, zaczęła mnie przekonywać, że nie mam serca, gdyż kobieta w dekoltowanym staniku (robią to panie tylko z oszczędności, by na suknię wyszło jak najmniej materiału!), pozbawiona futrzanego okrycia na szyję, łatwo bardzo może się narażać na zaziębienie.

— A sam pan niedawno poruszył tę kwestję — kończyła — że teraz chorować się nie powinno, bo to i niezdrowo i zbyt wiele kosztuje.

— Tak, to prawda! — przyznałem. — Proszę jednak pamiętać, że autor listu, omawiając kwestję owej rekwizycji, dodał wyraźnie, iż każda z niewiast, która odda swe futro, otrzyma za to pamiątkowy a ciepły szalik, którym będzie mogła zupełnie tak samo owiazać swą szyję..

— Panie! — krzyknęła z taką boleścią, jakby nie przymierzając siadła nieopatrznie na szpilce, wbitej w krzesło ostrzem do góry — Jakbym ja wyglądała w szaliku?!

— Tak, łaskawa pani, jak nasze matki i babki, po których odziedziczyłyście, zacne panie, tyle pięknych cnót i przymiotów!

— Więc ja już wyglądam tak staro?... Tego się po panu nie spodziewałam! Od kwartału przestaje być abonentką *Nowości ilustrowanych*!

Wydeła pogardliwie wargi i odwróciła się ku mnie odwrotną stroną medalu, wobec czego zrozumiałem, że rozmowa skończona.

Druga niewiasta zainterpelowała mnie też w tej samej kwestyi, dowodząc, że autor listu nie miał zupełnie słuszności, narzekając, iż właśnie teraz, gdy o sukno tak trzeba walczyć, noszą panie spodnice o kilometrowym obwodzie. Są one szerokie, to prawda, ale zato o wiele krótsze i, jak się to już wyżej powiedziało, wydekoltowane, co się więc oszczędziło od góry i z dołu, to obróciło się na powiększenie obwodu, nie było więc powodu do narzekania.

— Chyba, że list ów pisał stary kawaler! — dodała z uśmiechem — Wiadomo zaś, że ci panowie cierpią prawie wszyscy na katar żołądkowy i są z tego powodu zgryźliwi!

— Nie! List ów pisał człowiek żonaty...

— Nie uwierzę, póki go nie zobaczę. Proszę mi go pokazać!

— Na razie nie mogę, zresztą jest to tajemnica redakcyjna, której mi zdradzić nie wolno!

— A gdybym pana poprosiła, ale tak ładnie, jak ja to umiem!

— I to na nic się nie zda! Pod tym względem mam stałe, niczem niewzruszone zasady, jak ów ś. p. Katon, o którym musiała łaskawa pani słyszeć, lub czytać...

— Przypominam sobie! Zdaje mi się, że był to także stary kawaler i wróg kobiet... A za takiego pana nie uważam!

— Dziękuję serdecznie za słowa uznania! W każdym razie zastrzegam się, że za treść owego listu odpowiedzialności nie przyjmuję, co najwyżej za ową garść uwag, dodanych do niego.

— Tak! Wylał pan w nich dość złości!

— I to mi ułożyło, jak bowiem wyraźnie zaznaczyłem, z wywodami autora listu godzę się zupełnie...

Z kolei rzeczy przechodzę teraz do kuchni wojennych, urządzonych przez gminę miasta Krakowa dla dogodzenia żołądkom głodnej inteligencji. Orędzie do narodu, wydane w tej kwestyi przez pana prezydenta i jego trzech zastępców, czytał zapewne każdy z Czytelników, nie będę go więc powtarzał, zaznaczę tylko, iż najbardziej mi się podobało jego zakończenie, wzywające obywateli, mieszkających w tych dzielnicach, w których kuchni jeszcze nie otwarto, by się na razie obchodzili smakiem i czekali cierpliwie, nie robiąc ścisku w puszczonej już w ruch jadłodajniach.

Do tej kategorii i ja należę, nie posłuchałem przecież wezwania i podążyłem na uroczystość otwarcia pierwszej kuchni w dawnym refektarzu klasztoru Franciszkanów. Inauguracyjny obiad, aczkolwiek był to dzień beztłuszczowy, bo sobota, po wystłuchaniu kilku mówek smakował mi doskonale. Rosół z ryżem, to teraz prawdziwy zbytek, mięso rosółowe z cywili i ziemniakami tak co do ilości, jak i co do jakości nie pozostawiało nic do życzenia. Jak za koronę, objadłem się należycie. Wieczór tego dnia był bigos hultajski z ziemniakami, na drugi dzień baranina, potem kielbasa wyborcza z sosem i t. d.

Ale, powiada przysłowie, że ten się jeszcze nie urodził, koby wszystkim dogodził. Są zwolennicy kuchni wojennych, chwalcą je bez zastrzeżeń, są tacy, którzy robią pewne zastrzeżenia, są jednak i hipochondrycy, zupełnie z nich niezadowoleni. Jeden z tych ostatnich, spotkawszy mnie niedawno na Rynku, zapytał:

— Pan kronikarz już nie chodzi do wojennej kuchni?

— Nie! — odpowiedziałam lakonicznie, nie mając bynajmniej zamiaru wdawać się z nim w pogawędkę.

On jednak nie dał za wygraną. Złapał mnie za guzik od paltota, bym mu nie uciekł i ciągnął dalej:

— Zapewne nie smakowało?

— Owszem! Smakowało mi wszystko, ale kto ma w domu żonę i dzieci, ten z konieczności musi z nimi jeść obiady. Jeśli tam raz, czy dwa zaszedłem, to tylko dlatego, by wszystko widzieć na swoje własne oczy i potem móżdż o tem coś napisać...

— No i naturalnie zbeszta ich pan należycie, jak na to zasługują...

— Ani myślę!... Z jedzenia byłem zupełnie zadowolony!

— Ja zaś nie! Porcyne małe, tłuszczy niewiele...

— A cóż pan chciał mieć za koronę? Bądź pan kontent, że tyle dają!

— Nie! Nie będę kontent! Czy to nie grzech, o pomstę do nieba wołający? W bigosie za siedm-dziesiąt halerzy tylko pięć kawałków mięsa i trzy kawałki wędzonki?... Sam liczyłem dokładnie.

— Ja jestem zdania, że to zupełnie dosyć!

— Jeśli pan jesteście tego zdania, to nie mam co z panem mówić! Już pana przeciągnięto na stronę magistracką! Jakąż obiecali synekurkę, za to chwale-nie? He?...?

Chciałem mu ze złości pokazać język, ale miałem właśnie gorączkę i był nieco obłożony, bałem się więc, by nie skorzystał ze sposobności i nie powiedział, że to z magistrackiego wikt, chcąc się przeciw-nie z nim zemścić za to niesłuszne podejrzenie, jakie na mnie rzucił, powiedziałam:

— Ma pan może i słuszność, są bowiem restaura-cye, gdzie za koronę, można dostać kieliszek wódki, kanapkę, obiad z trzech dań, w tem dwa mięsa, cy-garo, czarną kawę i szklankę piwa lub kieliszek wina.

— Gdzież to? Gdzież?... — przerwał mi skwapliwie.

— Nie wiem! Gdybym wiedział, sam poszedłbym tam z całą rodziną. Mogę panu łaskawemu jednak dać radę przyjacielską, jeśli pan chce jeść tanio, a dobrze.

— No?... — i cały zamienił się w ucho.

— Niechaj pan chodzi na proszone obiady!

Poznał, że zeń kpię i uśmiechnął się gorzko, a ja wtedy, by go już dobić, pokazuję mu dwa zaproszenia na obiad, jakie od Szanownych Czytelniczek

otrzymałem. Jedno z nich pochodzi aż z Preszburga, drugie z okolic Oświęcimia.

Galicyskie zaproszenie więcej mi przemawia do serca i żołądka. — Autorka listu powiada bowiem: „Odwiedziwszy mnie, przekona się Pan, że tak samo, jak w urzędowaniu, jestem równie dzielną w sporządzeniu obiadów, co mój mąż z całą sumiennością poświadczyć może. Obiadek *non plus ultra*, taki przed-wojenny obiadek oczekuje Pana, jeśli Pan nas tu odwiedzi“.

Czytając list, a obecnie przepisując jego treść, obliczuję się ciągiem i tylko słinkę łykam. Adres podany zupełnie dokładnie, kto więc wie, czy z zaproszenia kiedyś nie skorzystam.

Drugi list z Preszburga, bez wyraźnego adresu, zapraszający na obiad na najbliższą niedzielę (niestety, już minęła!) opowiada wprawdzie o bifsztyku z wołu węgierskiego, a nie morskiego (bo to niedziela, więc dzień poświęcony obżarstwu i pijaństwu...), dodaje jednak dla odstraszenia gościa, że piwnica jest dość wilgotna, „jak to już zdradza, że na Dunajowej ulicy mieszkamy“ więc wody podostatkiem w piwnicy, a dotychczas wolno jej *ad libitum* używać bez kartek.

Z owego zaproszenia, choćbym nawet chciał, skorzystać nie mogę, pomijając już bowiem okoliczność, że Szan. Abonentka z Preszburga (tak się podpisała) nie podała wyraźnego i dokładnego adresu, a trudno, bym, przyjechawszy na miejsce, dopytywał się dopiero, kto w mieście prenumeruje *Nowości ilustrowane*, wody, zwłaszcza rzecznej, pod żadną postacią nie znoszę i na sam jej widok dostaję napadu morskiej choroby. Zresztą dla jednego obiadu, choćby był nawet i najsmaczniejszy, nie oplaci się narażać na trudy i niewygody tak dalekiej podróży, do tego w zimie i w słabo opalonym wagonie. Wątpię zresztą, czy zacna Weronika dałaby na to swoje *placet*.

Równocześnie z owymi zaproszeniami otrzymałem także i list z placu boju, mianowicie z południowo-zachodniego frontu, z pod Dolomitów. Treścią jego jest żalostny po zgonie „*Kuryerka*“. Mogę jednak Szan. Autora pocieszyć, słowami Pisma św.: „Maluczko, a ujrzyście go“... albowiem rychło już ukończą się dni jego pokuty i przebaczone mu będą winy jego!

Tak mnie przynajmniej zapewniano, a ja wierzę każdemu, choć nie zawsze na tem dobrze wychodzę!

Natomiast kto wie, czy nie kopnę się na kilka dni do Ameryki, aby się na miejscu przypatrzeć, w jaki sposób odbywają się wybory prezydenta Stanów Zjednoczonych i spróbować kielbasy wyborczej. Niestety, o godność tę ubiegać się nie mogę; by ją osiągnąć, trzeba bowiem być urodzonym w Ameryce. A szkoda! Pan prezydent pobiera rocznie pięćdziesiąt tysięcy dolarów pensyi, dwadzieścia pięć tysięcy na podróże (gdyby jeździł za dyetami, nigdyby go nie było — tak siedzi w domu!) i wolne mieszkanie, nie ma jednak żadnego zaopatrzenia na starość, ani honorowej emerytury.

Walka wyborcza ma się odbyć między panem Wilsonem, dotychczasowym prezydentem, a niejakim Hughesem, który jest podobno bardzo poważnym kontrkandydatem, więc kto wie, czy neutralny pan Wilson wyjdzie ponownie z urny. Właściwy wybór odbędzie się dopiero w lutym 1917, do tego czasu może skończy się wojna, przestaną grasować po morzu łodzie podwodne, a podróż będzie bezpieczniejszą.

A miałbym ogromną ochotę skosztować amerykańskiej kielbasy wyborczej, bo nasza, galicyjska, już mi się przejadła.

Rozgadałem się, niczem moja Weronika i teraz dopiero widzę, że na poruszenie politycznych kwestyi mało miejsca zostało. A chciałem w pierwszym rzędzie wspomnieć o przemowie cara, który, przyjmując w głównej kwaterze japońskiego księcia, kuzyna blizkiego jegomościa mikada, ogromnie mu kadył i wspominał w toaście, że zawsze był z podziwem dla „męstwa armii japońskiej i cnót jej floty“. Temu się bynajmniej nie dziwię, nie tak to bowiem dawno, jak męstwo Japończyków odczuł na swej własnej skórze. Momenty zaś tego rodzaju pamięta się zwykle długo, choć się o nich niechętnie wspomina. Ale trudno, czasem polityka każe mówić inaczej, niż się myśli i tutaj tak się właśnie stało *ad majorem gloriam* koalicji. Tak sobie życzy Londyn i Paryż, Petersburg musi robić, jak każą, bo inaczej zamkną przyjaciele kieszeń, a wiadomo, że do prowadzenia wojny potrzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy.

I Grecyi wartoby poświęcić słów kilkoro, aby zillustrować dokładnie „błogosławioną“ działalność koalicji, która swemi podstępami machinacjami doprowadziła do wybuchu domowej wojny w nieszczęśliwym kraju. Ale kto wie, czy jej to wyjdzie na dobre, sama będzie musiała wypić piwo, które nawarzyła... A nie bardzo ono smaczne, a tem mniej zdrowe!